

Aquarius

JAK ZROBIŁEM Z PIEKŁA RAJ

**Mimo że czasami niewiele wskazuje na odrodzenie,
zawsze jest taka możliwość...**



Aquarius

„Jak zrobiłem z piekła raj”

Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, 2014

Copyright © by Aquarius, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski

Projekt okładki: Aquarius, Wydawnictwo Psychoskok

Zdjęcia okładki: © Vicelord6; Sergey Nivens; Okea – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-160-6

Wydawnictwo Psychoskok

ul. Chopina 9, pok. 23, 62-507 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 665-955-131

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>

e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

SPIS TREŚCI

| | |
|---|-----|
| PODZIĘKOWANIA | 5 |
| WSTĘP | 6 |
| PIEKŁO | 8 |
| Wybór | 8 |
| Panaceum na wszystko | 9 |
| Początki zejścia | 11 |
| Ścieżka w dół | 13 |
| Bałagan | 15 |
| Syndrom chomika i mój przyjaciel lustro | 19 |
| Błędne koło. | 21 |
| Moje dno. | 22 |
| ZMARTWYCHWSTANIE | 25 |
| Dzień zero i trochę dalej | 25 |
| Diagnoza. | 27 |
| Przebudzenie | 30 |
| Kilka zaleceń | 33 |
| RAJ | 67 |
| Nie tylko dla uzależnionych! | 67 |
| Siła wiary i siła zwątpienia | 74 |
| Kilka mitów – czyli jak rujnuje sobie i innym życie moimi przekonaniem i | 76 |
| Nic nie muszę. | 92 |
| Nigdy nie ucieknę od problemów i zmartwień | 95 |
| Papier przyjmie wszystko | 98 |
| Oczekiwania to kredyt na wysokie oprocentowanie. | 102 |
| Wahadło doświadczeń, czyli wszystko jest takie, jakie ma być | 106 |

| | |
|---|------|
| Akceptacja | .107 |
| Nadawanie mocy | .108 |
| Postrzeganie wybiórcze. | .111 |
| Kim jesteś? | .113 |
| Dwadzieścia cztery godziny. | .116 |
| Skąd mam wiedzieć, że idę we właściwym kierunku . . . | .117 |

PODZIĘKOWANIA

Najbardziej chciałbym podziękować córce, która może dzisiaj nie jest tego świadoma, ale ocaliła mnie wielokrotnie swoją obecnością. Wielki wyraz szacunku składam żonie, która zapoczątkowała przemianę piekła w raj, kiedy to po latach wiary i nadziei, zwątpiła w poprawę sytuacji, czego konsekwencją było moje przebudzenie. Dziękuję również matce i ojcu za wiarę, pomoc i wsparcie. Rodzicom i rodzeństwu ukochanej za ich obecność i pomoc od pierwszych dni drugich narodzin.

Bardzo dziękuję bratu za pracę i ułatwienie realizacji terapii, siostrze za to, że zawsze mogłem z nią szczerze porozmawiać. Podziękowania składam dla całego zespołu terapeutycznego, który pokazał mi pierwsze mapy nowego świata. Wyrażam wdzięczność wszystkim, którzy jako pierwsi czytali tę książkę i podzieliли się sugestiami. Patrycji P. za pierwsze korekty, opinie tekstu i grafiki. Prawdziwym przyjaciółom na tej drodze: Mirkowi T. oraz Piotrowi S. któremu zawdzięczam wsparcie i zrozumienie. Dziękuję Dominikowi B. za wymianę poglądów i naświetlanie wielu spraw. Składam wielki wyraz szacunku Romkowi F. za naprowadzenie i pomoc w rozwoju duchowym i osobistym. Dziękuję wydawnictwu Psychoskok za pomoc w realizacji i zmaterializowaniu przemyśleń zawartych w tej książce. Nie sposób wymienić wszystkich osób, którym jestem wdzięczny za naukę jaką mi dali świadomie lub nie. Dziękuję wam wszystkim!

WSTĘP

Zasłyszane: „Jakiś czas temu krążył po górach człowiek, który po dość długiej wędrówce postanowił wrócić do domu. Było już dość późno, zrobiło się ciemno a góry zatonęły we mgle. Człowiek schodził bardzo ostrożnie, pokonując różne półki skalne. W pewnym momencie widoczność spadła do zera, on z ostatnią liną zaczął opuszczać się z kolejnego występu skalnego. Lina okazała się zbyt krótka i zawisł na jej końcu bez gruntu pod stopami, których prawie już nie dostrzegaliśmy we mgle. Nie wiedział co ma zrobić, w górach nie było gdzie się ukryć, a powrót do domu zakończył się wraz z liną. Poprosił Boga o pomoc – Boże pomóż, co mam zrobić?

Bóg odpowiedział – odetnij linę!

Mężczyzna nie posłuchał, w obawie przed tym, co się z nim stanie. Rano, kiedy słońce wzeszło a mgła opadła, znaleziono wędrowca martwego, pół metra nad ziemią niedaleko domu.”

Książka ta, to historia wędrówki po górach, która w pewnym momencie również zatrzymała się na końcu liny. Potoczyła się ona jednak dalej. Z ufnością odciąłem linę, na której wisiałem, nie mając pojęcia, co nastąpi. Trudność z jaką to nastąpiło, była ogromna, każde uzależnienie, bez względu na substancję lub czynnik, zawsze zatrzymuje się w podobny sposób. Upadłem, przeżyłem, poznałem nowe szlaki, wchodzę na kolejne. Udało mi się wyjść z wewnętrznego piekła i po przebudzeniu odnaleźć mapę do rajów.

Postanowiłem podzielić się tą mapą. Tą, którą mam już teraz, kolejne odkrywam każdego dnia.

Sugestie zawarte w tej lekturze, zwłaszcza w ostatnim dziale, kieruję do wszystkich ludzi. Uzależnieni bowiem nie mają monopolu na przechłapanie życia. Jeden szczęśliwy człowiek, to wielu wesołych ludzi. Jest to reakcja łańcuchowa. Stoję na środku stawu, rzucając do niego kamienie. Fale rozchodzą się wokół, odbijają się od brzegu i wracają do mnie. Jeżeli jestem szczęśliwy, ludzie wokół dzielą moje samopoczucie i tak dalej, tworzę swój własny raj. Jeżeli „zatruję” otoczenie, to inni zaczynają atakować mnie i pozostałych wokół, tworzę w ten sposób piekło. Zawsze wszystko zaczyna się od środka, od świata wewnętrznego, który jest równie wielki, co ten zewnętrzny.

CO DAJĘ, TO OTRZYMUJĘ! Taka już jest zasada.

Oto opowieść na bazie doświadczeń i przemyśleń – „Jak zrobiłem z piekła raj”.

PIEKŁO

WYBÓR

Wychowałem się w „normalnej” (cokolwiek to znaczy) rodzinie. Brat i siostra są dużo starsi, tata jest zawodowym kierowcą, mało kiedy był w domu, matka zajmowała się opieką nad dziećmi. Specjalnie nie miałem autorytetu jako dziecko, a także później, jako dorastający człowiek. Nie rozumiałem bardzo wielu rzeczy, w tym pojęcia miłości, *miłością darzy się wyłącznie partnerkę. Miłość = pożądanie, miłość to seks...* kochać siebie? No cóż... Tak to rozumiałem.

Wymyśliłem sobie, że muszę być twardy, oczywiście na początku w ogóle mi to nie wychodziło, przez co nikt mnie zbytnio nie szanował, nie miałem własnego zdania, więc było to dość zrozumiałe.

Różne prowokacje były chlebem powszednim. Pamiętam jak po osiemnastych urodzinach pokłóciłem się, delikatnie mówiąc, z mamą, o palenie papierosów w domu. Po co mam się ukrywać skoro i tak będę palił! Wiedziecie jak ona musiała się czuć? Spędzała przy mnie nieprzespane noce w szpitalu, urodziłem się z wadą serca...

Napakować się, kupić czarną furę umc, umc, umc, gra muza. Dałbym wtedy się pociąć za to. To była „prawda”! Myślałem, że to prawda, ale nie wiedziałem wtedy, że prawdę się czuje i dochodzi do niej stopniowo. O prawdzie się nie myśli.

Wagary w szkole. Kto nie wagarował, ale po dwa tygodnie z rzędu to lekka przesada. Policja też mnie znała, chociaż nie powinna. Sygnały ze środka i z otoczenia były coraz silniejsze, ale zagłuszałem je głośniejszą muzyką i gadaniną o niczym.

Były przebłyski, gdzie wraz z kolegami spędzaliśmy spokojny weekend, oglądając film w domu, czy robiąc ognisko nad jeziorem.

Praca. *Praca jest dla motłochu i ciemnoty. Od pracy ma się garb i kredyty.* Podczas niedużych kombinacji pojawiały się dorywcze prace. *Czy się stoi, czy się leży – stówka się należy.* Oto było motto młodego człowieka... Moje przewodnie hasło.

W weekendy zaczęliśmy z kolegą bawić się w DJ'i, właśnie wtedy alkohol zaczął się pojawiać w dużych ilościach.

Dość szybko okazało się, że to mój konik... PADŁ WYBÓR.

PANACEUM NA WSZYSTKO

Czułem, że robię źle, ale kto słuchał siebie? Trzeba grać dalej bardzo trudną rolę. Różnica między tym, kogo próbowałem udawać, a tym, co o sobie myślałem, była ogromna, alkohol pomagał mi z tym żyć. Alkohol przynosił ulgę. Ulgę od rozdarcia między sercem, ciałem a umysłem. Między skorupką a wnętrzem jaja.

Alkohol był wspaniałym guzikiem off na wszystkie dolegliwości, zarówno fizyczne jak i psychiczne. Do tego było czym imponować przed kumplami, więc jest bonus. Życie wydawało się łatwiejsze, dziewczyny ładniejsze. Żyć nie umierać.

A ja, dusza towarzystwa, zacząłem być naprawdę lubiany. Otoczenie cieszyło się na mój widok. Kiedy tylko się pojawiałem,

zawsze zapowiadała się zabawa i kupa śmiechu. Oczywiście jak małąką robiłem dowcipy, nierzadko robiąc z siebie durnia: od rzucania kawałów, przez dziwne tańce, do załatwiania się z drugiego piętra przez okno hotelu na chodnik. Ale nie to było ważne. Liczył się „sukces” jednostki jaką byłem.

Zabawa trwa, muzyka gra, raj, nowe pojęcia i doświadczenia pojawiły się wraz z alkoholem. Okres największego buntu przemijał.

Zaczęły się pojawiać dziewczyny, oczywiście do niczego poważnego nie dochodziło, ale trzeba było jeszcze zakładać kolejne maski. Mężczyzna „musi” mieć kobietę. Żałosne, ale wtedy w to wierzyłem. Byłem bardzo kochliwy, szukałem aprobaty, chciałem się też dowartościować. Jako że wtedy poczucie własnej wartości było dla mnie jakimś biadoleniem nadętego poety, to porażka na tym polu była kwestią czasu. Ale cóż, mam guzik OFF. Jakie to wspaniałe. Można zaimponować koleżankom wypiciem kilku piw z rzędu, a następnie, tym samym, wyleczyć rany po odrzuceniu.

Alkohol służył mi wtedy jako waluta. Ile można było załatwić za flaszkę! Pomoc majstra czy kolegi, prezent za przychylność jakiejś wpływowej osoby, upominek na urodziny, czy inne okoliczności. Idealny na wszystko! Nie trzeba się zastanawiać co kupić, żeby trafić, a do tego sam skorzystam.

Wygrałem na loterii! Oto pojawiło się PANACEUM.

POCZĄTKI ZEJŚCIA

Na imprezach pojawiały się pierwsze wpadki. Zamiast siedzieć za konsolą z kumplem, łąziłem z butlą po sali, szpan i lans. Potknięcia, wywrotki – rzecz normalna. Urwany film przyprawiał mnie o adrenalinę. Kiedy po imprezach kumple opowiadali mi co wyprawiałem poprzedniego wieczora, czułem ogromną dumę przyprawioną odrobiną wstydu. Wystarczyło jedno krótkie zdanie. *Ty to masz łeb!* I już było dobrze. Za coś jestem chwalony. Poczułem się doceniony.

Oczywiście pojawiały się pierwsze kliny, picie na kaca. *Czym się zatruteś, tym się lecz.* Tak spędzana była niedziela.

Pod koniec szkoły średniej, gdy w mojej zaburzonej egzystencji pojawił się pierwszy anioł, dzisiaj zresztą moja żona, sporo ucichłem. Z jednej strony było to spowodowane chęcią poprawy, z drugiej, jak to na ogół bywa w momencie zauroczenia, założeniem ładniejszej maski, nieświadomej maski.

Tak więc weekendy spędzałem z ukochaną, piękny czas. Jednak druga kochanka w postaci butelki, nie odeszła daleko.

Nasze spotkania w wolne dni spędzane były w towarzystwie butli wina czy szampana, tak dla romantyzmu... Kilka lat później wiele się nie zmieniło, z tą różnicą, że przed wieczorną celebracją miałem kilka piw na boku. Tak żeby się rozgrzać, czuć się pewniej i swobodniej, być bardziej obecnym, nie zastanawiać się, jak wyjść na kilka chwil po to, by uzupełnić „minerały”.

Po zdaniu matury minęły wakacje, zdobyłem pierwszą pracę, zatrudniłem się w firmie w miejscowości, w której mieszkałem. Zainteresowania miałem bardzo rozległe, jednak słomiany

zapał i ogólnie towarzyszący mi brak pewności siebie sprawiał, że horyzonty były zaniżone.

Początki, jak się łatwo domyślić, były trudne. Trafiałem na różnych ludzi. Ci, którzy próbowali dokopać młodemu, lubili wypić. Trafił swój na swego. Alkohol pojawił się w pracy, na początku na nocnych zmianach. Pełnij rolę karty przetargowej, wystarczyło przynieść kilka piw czy flachę i już byłem wporzo. Jakie to było fałszywe! Jak mogło być prawdziwe, nazwijmy rzecz po imieniu, udzielaliśmy sobie łapówek. Cóż, nie myślałem nad tym. Skoro wydaje mi się, że jest dobrze, to po co zadawać sobie niewygodne pytania. Pojawiło się kilka urwanych filmów w pracy, z których się wylizałem, grupka zaufanych pracowników tworzyła zamknięty krąg. Jeden krył drugiego, każdy milczał, więc byliśmy bezpieczni.

Studia zakończyłem dość szybko, dlaczego? Sądzę, że powodów było kilka. Nie ten kierunek, ukochana miała na przemian ze mną zajęcia w weekendy, więc prawie się nie widywaliśmy, praca po kilkanaście godzin na dobę, brak jakichkolwiek ambicji, alkohol również był jedną ze składowych. Jak nie mogłem usiedzieć na zajęciach, co się dość często zdarzało, siedziałem w pubie. Takie studenckie życie mi odpowiadało. Czuję się dobrze jako student, było się czym pochwalić. Gdy zrezygnowałem, tłumaczyłem, że szkoła nic mi nie da. Oczywiście ukończenie szkoły nie daje gwarancji na lepsze życie, daje natomiast szansę na poznanie ludzi, niewyczerpalnych zasobów.

Zamieszkaliśmy z dziewczyną razem u moich rodziców, oświadczyłem się, ale przed ślubem wpadki pojawiały się coraz częściej. Dużo czasu zacząłem spędzać po za domem, wieczory narzeczona musiała sobie organizować sama. Pojawiły się

klótnie przeplatane pozornym spokojem, radością, smutkiem i pożądaniem.

Po ślubie zamieszkaliśmy w wynajmowanym lokalu w pobliskim mieście. Towarzystwo odeszło na bok, więc było mnie więcej dla niej. Nadeszła cisza przed burzą. Tak wyglądały PO-CZĄTKI ZEJŚCIA.

ŚCIEŻKA W DÓŁ

Zawodowo osiągnąłem „sukces”, zostałem kierownikiem produkcji. Dziwne? Cóż, odkryłem, że jak spełniam cudze oczekiwania, to mnie wszyscy chwala. Jako, że w domu nie było mnie specjalnie za co chwalić, to w pracy jak najbardziej. A ja cały czas szukałem potwierdzenia własnej wartości, więc robiłem zawsze więcej, niż do mnie należało. Do tego solidarność z kolegami i byłem „wzorem”. Oczywiście to wszystko działo się poza świadomością. Dopiero po trzech latach abstynencji, więc długo po tym, zrozumiałem, że jestem dodatkowo uzależniony od cudzej opinii.

Po jakimś czasie postanowiłem zmienić pracę. Dzisiaj widzę, że powodem tego był brak odwagi, aby wypowiedzieć swoje zdanie. Zwyczajnie z braku pewności siebie, jak również z powodu świadomości tego, że mam „przeskrobane”. Pracodawcy wiedzieli o naszych wybrykach, ale raz – nie mieli dowodów, bo przecież nikt nie złapał nas za rękę, a dwa – praca była zawsze zrobiona na czas i ponad normę. Na znieczuleniu można było pracować z większą wydajnością. Dopóki były namiastki „kontroli picia”, było ok. Presja niektórych współpracowników wynikała

ze zwyczajnej zazdrości. Myśleli sobie, *co mi gówniarz będzie rozkazywał*. Oczywiście i tej lekcji nie zdałem, miałem okazję, jak nigdy, zawalczyć o swoje, ale kozak to ja byłem w domu. I tylko tam. Postanowiłem wyjechać za granicę.

Oczywiście wizja „pięknego zachodu” przysłoniła mi wszystko. Pracodawca był zadowolony, robota wykonana zawsze przed czasem, przypomniał mi się język, no bo przecież byłem sam z kolegą, a później już tylko sam. Trzeba było dogadać się z pracodawcą i zrobić zakupy. Szef miał tylko jedno zastrzeżenie, chyba nie trzeba dalej wyjaśniać...

Pewnego dnia, podczas pracy, miałem mały wypadek, ciąłem drewno na wielkiej pile tarczowej, a w pewnym momencie poczułem ciepło na klatce piersiowej. Spojrzałem w dół, byłem zalany krwią. Zdjąłem koszulkę, przetarłem, okazało się, że kawałek metalu, prawdopodobnie odłamek gwoźdźnia, wystrzelił spod piły, trafiając mnie w mostek. Pobiegłem do bossa po opatrunek. Jak na ironię, w pień zapomniałem jak nazywa się środek dezynfekujący, poprosiłem więc o... alkohol. Otrzymałem plasterek!

Boże, jak ja wtedy spokorniałem. Dwa tygodnie do powrotu, ja sam w obcym kraju, zamieszkały w stodole z kawałkiem żelastwa w piersi. Na szczęście nie było żadnych powikłań, na nie-szczęście kolejny egzamin życia obłany, szybko zapomniałem. Mogłem jeszcze jeździć, ale cóż, doświadczyłem tego, czego doświadczyłem. Rozłąka, bez różnicy czy kilkudniowa, czy kilkutygodniowa, potrafi bardzo zbliżyć. Tak, bardzo kochałem wtedy żonę. **NIE MA LEPSZEJ TERAPII MAŁŻEŃSKIEJ NIŻ ROZŁĄKA!**

Szkoda, że były to ostatnie przebłyски światła na zachmurzonym niebie.

Jeżeli chodzi o dalszą karierę zawodową, to pracę wybierałem przez butłę. Po pierwsze – „wokół komina”, czyli tak, żeby nie trzeba było dojeżdżać do niej autem. Po drugie – żeby szefostwo było przychylne picciu, czyli przymykało oko na alkohol w pracy, byle robota była zrobiona.

„Rozwój” był niesamowity. Stąd ŚCIEŻKA prowadziła już tylko W DÓŁ.

BAŁAGAN

Jak wspominałem, kozak to ja byłem w domu. Frustracje związane z coraz częstszymi wpadkami i niepowodzeniami połączone z brakiem poczucia własnej wartości, dawały wynik. Kiedy maska spadała, to z wielkim hukiem.

Jak to często bywa, Ci, którzy kochali mnie najbardziej – tak też najbardziej cierpieli z mojego powodu. Kłótnie w domu były chlebem powszednim. Żyłem w ciągłym gniewie, a to oznaczało zamknięte oczy i wiecznie otwartą buzię. Przemocy fizycznej się nie dopuściłem, ale to nie znaczy, że byłem lepszy.

Czasami myślę, że ja sam nie wiem co bym wybrał, w pysk czy wiecznie ładowane szpile.

W całym tym szaleństwie używałem inteligencji tak, żeby bolało. Dokładnie wiedziałem w jakie punkty uderzyć. Uderzałem słowem. Komentarze w kierunku żony i rodziny były bardzo częste. Byłem jak kamień w bucie, wiecznie dawałem o sobie znać.

Przez to również izolacja mojej rodziny była spora. Po pierwsze nigdzie nie jeździliśmy ani nie wychodziliśmy, wystarczyło, że moje potrzeby były zaspokojone, po drugie, przez mój

rozwiązły język, rodzina chciała uniknąć niepotrzebnych przykrości. Po za tym większość ludzi, których byśmy wtedy odwiedzali, nie pili przy każdej okazji, a ja nie lubiłem takich spotkań. Były to dla mnie spotkania umarłaków... Jak już alkohol się pojawiał, to lubiłem inicjować kolejki. Tak, narzucanie tempa to była moja specjalność. Czułem dumę, gdy ktoś kończył pierwsze piwo, a ja miałem na boku trzy.

Oczywiście dopóki był alkohol na imprezach, byłem i ja. Często manipulowałem i prowokowałem spotkania czy grillowanie, gdy wiedziałem, że będzie co pić.

Jeść i tak nie jadłem, bo nie byłoby miejsca na alkohol. Tak więc, poza własnymi potrzebami, nie dostrzegałem pragnień innych.

Romantyczne wypadki we dwoje czy wyjazdy wakacyjne były taką abstrakcją, jak zaćmienie słońca...

Często piłem po kątach, w ukryciu i samotności. Gdy ktoś łapał mnie za rękę, mówiłem z ironią, że to nie moja ręka. Mieszałem w umysłach osób, które mnie kochały, trzymałem się kłamstwa do końca. Żona sama zaczynała powątpiewać, kto ma rację...

Nie mam pojęcia, gdzie zgubił się ten chłopak ze szkolnej ławki, który tak zabiegał o względy ukochanej.

Atakowałem wszystkich słowem, zupełnie bez powodu. W pracy też trzeba było „dowalać” słabszym. Nie wiedząc o tym, zbudowałem sobie imperium i tożsamość. Tożsamość agresora słownego. Wielu ludzi nie miało ze mną łatwego życia.

Ale większość jeszcze miała przy tym niezły ubaw. Podpuszczali mnie, a ja jak dziecko widzące śmiech z własnych popisów, dawałem show. Dusza towarzystwa, oto „ja”.

Niepijący bądź pijący w małych ilościach, więc wszyscy ci, którzy nie mieli problemu, byli dla mnie frajerami, cielakami, nudziarzami i tak dalej. Tak już jest, że nie będąc świadom własnego zachowania, myśli i uczuć, dobiera się znajomych na podstawie systemu wartości. Moje wartości upadły. Została jedna, więc i ludzi oceniałem przez szkło. Bez zachowania resztki obiektywizmu ludzie ci dla mnie wtedy nie korzystali z życia, żyli po to, by pracować i płacić rachunki. Dzisiaj wiem, że ja wtedy już nie żyłem, byłem w stanie głębokiego uśpienia, ale nie był to jeszcze czas mojego dna, więc nie mogłem się odbić.

Część ludzi mnie lubiła, bo szło się ze mną dogadać. Tym razem to ja byłem ten, co lubi łyknąć, ten, któremu można postawić flaszkę i on zawsze pomoże czy coś załatwi. Role się odwróciły po kilku latach.

Sąsiedzi i inni ludzie widzieli mój problem, jednak ci, którzy mi go wytykali, sami potem mieli kłopoty. Żona była zawsze na linii frontu, rodzina bliższa i dalsza, córka była wtedy bardzo mała. Nie darłem się na nią wprost, jednak nie było mnie dla niej wcale.

Alkoholik... Oczywiście, że padały takie teksty w moim kierunku, jednak w zależności od kogo i w jakim kontekście, czułem dumę lub też wstyd i złość. Jak mówili to koledzy, to tłumaczyłem sobie to mocną głową. Jeśli wypowiedział to bliski, obrywał ciętą ripostą.

Mówiłem sobie i rodzinie, że nie jestem alkoholikiem, że jestem piwošem. Ktoś degustuje kawę, ktoś herbatę, a ja piwo... Prawda była taka, że z degustacją nie miało to wiele wspólnego, ale wtedy w to wierzyłem. Wrak człowieka, którym się stawałem, w odbiciu lustra wciąż widział ogarniętego, silnego mężczyznę, któremu po prostu wiatr wieje w oczy.